



powyżej i na kolejnych stronach:
Aula Nova Akademii Muzycznej
im. Ignacego Jana Paderewskiego
w Poznaniu

Lwowiak z pochodzenia, poznaniak z wyboru. Po lwowsku spontaniczny, po poznańsku pracowity. Nagrodzony przez SARP architekt i twórca przestrzeni teatralnej. Nie ulega przelotnym modom, nie krzyczy swoimi projektami. Mówi o sobie: architekt niszowy. Projektuje w pracowni położonej tuż obok swojej największej realizacji — budowanego wciąż uniwersyteckiego kampusu na Morasku. Po półwieczu pracy zawodowej nadal projektuje. Marzy o teatrze, którego nie widać i dobrej przeciętnej architekturze. O sobie mówi z dystansem, barwnym językiem, ze swobodą. Bezpretensjonalny talent, nie tylko architektoniczny — Jerzy Gurawski.

rozmowa z...

Jerzym Gurawskim

Jakub Głaz: Zaczynał Pan od teatru i jedynej w swoim rodzaju sceny prowadzonej przez Jerzego Grotowskiego. Jak to wyjątkowe doświadczenie przełożyło się na późniejsze działania architektoniczne?

Jerzy Gurawski: Trzeba zacząć od tego, że kontakt z Grotowskim nie był przypadkowy. W roku 1959... To było czterdzieści... Nie! To było prawie pięćdziesiąt lat temu... Rany Boskie! Pięćdziesiąt lat temu, gdy...

JG: ...gdy dopadł pan Grotowskiego w klubie „Pod Jaszczurami” i pokazywał mu swoje projekty.

JG: Tak było. Byłem wtedy na ostatnim roku studiów i dostałem pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie na teatr objazdowy ziemi mazowieckiej. Zmienne widownie, mobilność, takie sprawy. Równolegle robiłem dyplom. Też teatralny. To był teatr z widownią centralną, ale i sceną pośrodku oraz dookoła. A Grotowski miał w krakowskich „Jaszczurach” wykład o erotyce hinduskiej oraz innych dziwnych sprawach. I o teatrze. Podszedłem do niego po spotkaniu, powiedziałem,

jaki teatr robię i co mnie interesuje. On miał zaś tak silną osobowość, że niedługo potem i mnie ściągnął do Opola, tej ówczesnej dziury [śmiech], do swojego teatru, gdzie spędziłem trzynaście lat z okładem. I robiłem z nim przestrzeń w teatrze. Pierwsza była „Siakuntala”. W salce sześć na dwanaście metrów! W niej zrobiłem ten teatr i wszystkie inne pomysły z dyplomu. To było powtórzenie: scena centralna, dwie widownie przeciwległe i sceny tylne. Potem były „Dziady”, które przenieśliśmy w przestrzeń organiczną, zupełnie oderwaną od sal balowych, kaplicy, celi. Następnie — „Kordian” — przezabawny. Odbывał się w scenerii szpitala dla obłąkanych. Wszystko się temu biednemu Kordianowi w głowie mieszało. Na piętrowym łóżku szpitalnym przypominał sobie różne sprawy. Z kolei Faust przyjmował gości na ostatniej wieczerzy. Wreszcie: „Książę niezłomny” — widzowie z góry obserwowali księcia, jak na sali operacyjnej, gdzie widzi się męczzonego człowieka, ale nie można mu pomóc.

JG: Grotowski dążył jednak z czasem do coraz większej redukcji przestrzeni.

JG: Tak. Prowadziłem z nim rozmowy o tym, jaki będzie teatr, o kontakcie widza z aktorem i na odwrót. I, po kolei, różne rzeczy wyrzucaliśmy. W szkicach stały jeszcze np. jakieś gary, ale potem wszystkie wyleciały. W jednym tylko spektaklu, w „Akropolis” robionym z Szajną, wieszano się w trakcie seansu różne okropne rzeczy na suficie i to tworzyło wspaniałą przestrzeń.

JG: Uciekł pan od Grotowskiego, bo już nic się nie dało zrobić na scenie?

JG: To on uciekł. Z Opola do Wrocławia, gdzie ściągnął go wraz z teatrem prezydent Iwaszkiewicz. Bardzo świetny człowiek! Dał im mieszkania i uhołubił. A ja zostałem. W Opolu prowadziłem równoległe działania architektoniczne, która coraz lepiej się rozwijała.

JG: Ale to już nie teatr, gdzie wszystko można. Poza pracami konkursowymi, nielato się było wtedy wyżyć w architekturze.

JG: Rzeczywiście. Tyle że Grotowski zaczął się coraz bardziej zagłębiać w filozofii, w pracy

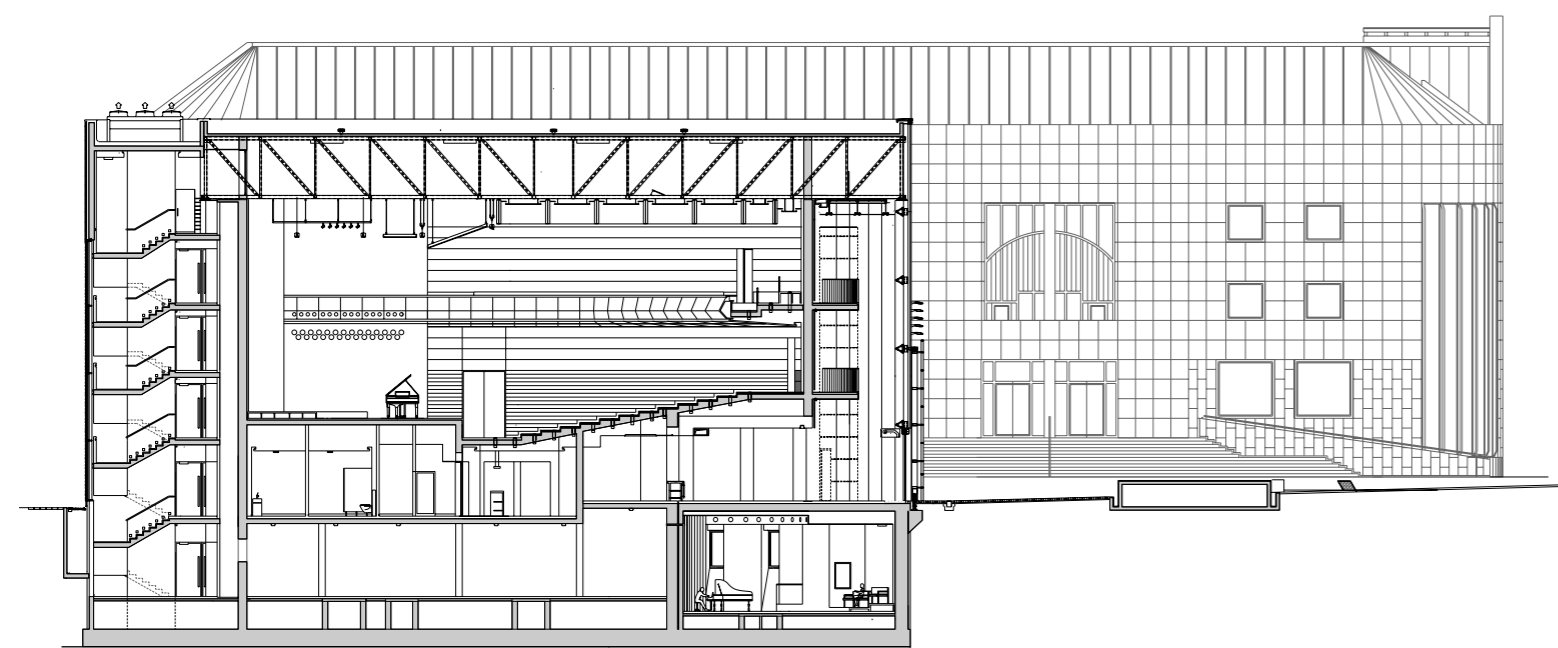


z aktorami. To trwało miesiącami, czasem ponad rok. Ja pojawiałem się tylko na jakimś tam etapie. Zająłem się więc tym, do czego byłem przygotowany. W tamtych czasach nikt raczej nie myślał o karierze z prawdziwego zdarzenia, tak jak teraz robią to młodzi ludzie.

JG: Ale i tak się udało. Pańskie scenografie publikowano przecież w światowej prasie. Potem, z Marianem Fikusem, wygraliście jeden konkurs architektoniczny za drugim.

JG: Fakt. Sukces był. U Grotowskiego wyrobiłem w sobie pracowitość, a Marian z kolei zawsze był bardzo pracowity. W związku z tym — jak już się spotkaliśmy, to co można było robić? Można było pić, oczywiście! Można było ciągle robić ten teatr. Jednak, na dobrą sprawę, architektura była ciekawsza. Grotowski zresztą poszedł dosyć daleko w swoich rozważaniach. Jego ostatnie przedstawienie „Apocalypsis cum figuris” to już właściwie było sfinalizowanie naszych rozmów. Tam nie było nic. Tylko pusta przestrzeń, czarna oczywiście. I snujący się gdzieś aktorzy.

poniżej:
przekrój



JG: Od redukcji materii uciekł więc Pan w jej tworzenie.

JG: Wiele tego było. Małe, fajne rzeczy. Modernizacje i rozbudowy szkół, urzędów, sal rozmaitych. Przyjmowali mnie na tej Opolszczyźnie kaszanką, koło gospodyń wiejskich robiło przyjęcie, było piwo. I wszyscy dokładnie wiedzieli czego i jak chcą. Potrzebowali tylko kogoś, kto by im te projekty narysował...

JG: A duże projekty, konkursowe, te nagradzane? To był jakiś sport?

JG: To był i sport, i ambicje. A ambicje polegały na przyjemności — oczywiście tam, gdzie wygraliśmy. Przegrywaliśmy zaś tam, gdzie bardzo chcieliśmy wygrać. Było tak w przypadku konkursu na Centrum Pompidou. Robiliśmy konkurs w Santiago de Chile — też fajny. I też przegraliśmy. To były świetne czasy. Teraz Zachód bardzo poszedł technologicznie do przodu, a my jednak zostaliśmy trochę w tyle. Wtedy pomysł architektoniczny liczył się najbardziej. Teraz większe znaczenie mają te gięte szkła, struktury. Czasem trudno mi się już w tym połapać, ale mogę się do tego przyznać, bo w końcu mam swoje lata [śmiech].

JG: Od materiałów ważniejszy jest chyba dla Pana człowiek i jego funkcjonowanie w przestrzeni. Obrął sobie Pan za „godło” postać ludzką pośrodku koła.

JG: Od czasów dyplomu mam ten znaczek. Nic się nie zmienił. O, tu leży! Ładny, prawda?

JG: No ładny, ładny. Ale na ile udaje się zrealizować to w praktyce: człowiek na pierwszym miejscu, przestrzeń i tak dalej. W teatrze mógł Pan bardzo dużo, a w architekturze...

JG: Fakt. W teatrze działało się fantastycznie. Zwłaszcza że to, co robiłem, współgrało z założeniami Grotowskiego. Umiał wykorzystać moje zdolności. Potem dobrze współpracowało mi się także z tymi ludźmi na Opolszczyźnie.





Też umieli mnie wykorzystać. Także wiedzieli czego chcą: żebym dobudował ładny ustęp do szkoły albo salę gimnastyczną. To również było dobre. Później, niestety, zaczął się kontakt z ludźmi, którzy nie bardzo szli w tę stronę, co ja. I to było bardzo trudne. Na dobrą sprawę, dopiero gdy rozbudowywałem w latach 90. poznańską Akademię Muzyczną, to rektor wiedział czego chce. Akceptował, rozumiał, wiedział. Podobnie było z Wydziałem Matematyki UAM. Poza tym bywało ciężko. Wszyscy mądrzy! W zawodzie architekta każdy wie lepiej od niego, jak coś powinno wyglądać. Jest jednak na szczęście w Polsce kilku takich architektów, którzy mają pasję i walczą, by to, co zamierzali zostało zrealizowane.

JG: *A Panu się to udaje? Jest Pan zadowolony z uniwersyteckiego kampusu na poznańskim Morasku?*

JG: Ogólnie tak. Stała się tylko jedna straszna rzecz. Nie potrafiłem przekonać nikogo, żeby wykorzystać największą wartość Moraska: otwarcie na prawdziwą przestrzeń i zieleni. Żeby od jej strony były główne wejścia. Mają je tylko Wydziały Fizyki i Matematyki. Biologia i politologia już się zadem odwróciły od przyrody, a mordami zwróciły — do parkingu. I nie potrafiłem wywalczyć tego, żeby ci doktorzy i te docenty zrehabilitowane przeszli się te pięćset metrów od parkingu do wejścia. Spodziewałem się, że teren Moraska będzie oddziaływał silniej na uczelnię. Tymczasem mają tam ruszyć nieplanowane wcześniej inwestycje i za chwilę ten uniwersytet będzie stał wśród zabudowy jedno- oraz wielorodzinnej. Jest więc pewne poczucie przegranej...

JG: *Zmiany wymusiła jednak komunikacja. Wszyscy jadą tam z Poznania, od strony przeciwnej do lasu. Chcieliby jeszcze tramwaj bezpośrednio pod kampus...*

JG: Niby tak, ale jeśli wpuści się tramwaje, to Morasko przekształci się w zwykłe przedmieście, a kampus jest zupełnie inną sprawą. To powinna

być enklawa dla nauki, przestrzeń spotkań i wymiany doświadczeń. Niestety, tak to nie działa. Na uniwersytecie pracuje się do trzeciej, a potem zamykają. Zostaje wielka ogromna pusta przestrzeń: komputery, biblioteki, które powinny działać cały czas. Powinna tu powstać przestrzeń dla młodych ludzi: jakaś kawiarnia, małe kino, teatr, przestrzeń do aktywnego życia. Niektóre wydziały tętnią, na szczęście, życiem. Tyle że — ze względu na studentów zaocznych — przeważnie w sobotę i niedzielę. I ta przestrzeń wtedy żyje, gra, widać potrzebę rozmów, spotkań. Miło jest patrzeć, jak na tych korytarzach, w holach organizują wystawy, obrony doktoratów, spotkania, bankietki.

JG: *Morasko pozostawiło niedosyt. A która z realizacji architektonicznych jest najbliższa Pana ideałom?*

JG: Ogromną satysfakcję przyniósł mi również kościół w Głogowie, zaczęty jeszcze z Marianem Fikusem, kończony samotnie dużo, dużo później. Środowisko głogowskie to byli bardzo specyficzni ludzie. Kiedyś mieli ogromne pola na Ukrainie, a potem rzuciło ich do kopalni. Trudni odbiorcy. Mój kościół został przez nich dobrze przyjęty i zaakceptowany. Ma swój nastrój i siłę oddziaływania...

JG: *... a jego forma dokładnie mówi, czym jest ten budynek, podobnie jak przestrzeń teatralna, która opowiada swoją historię.*

JG: Bo ja nie buduję przestrzeni, tak jak słynni architekci, którzy odciskają swój widoczny ślad. Dopasowuję się do kontekstu. Największą satysfakcją jest znalezienie języka miejsca, w którym działam. W teatrze szukałem przestrzeni do tego, o czym opowiadał mi Grotowski. Dopasowywałem się do jego zamiarów. W przestrzeni architektonicznej dopasowuję się do tego, co istnieje dookoła. Na przykład sala koncertowa poznańskiej Akademii Muzycznej wpisuje się idealnie w układ „ringu Stübgena” okalającego centrum. Dobra przestrzeń...

JG: *Trudno o nią w Polsce. Czego jej dzisiaj najbardziej brakuje?*

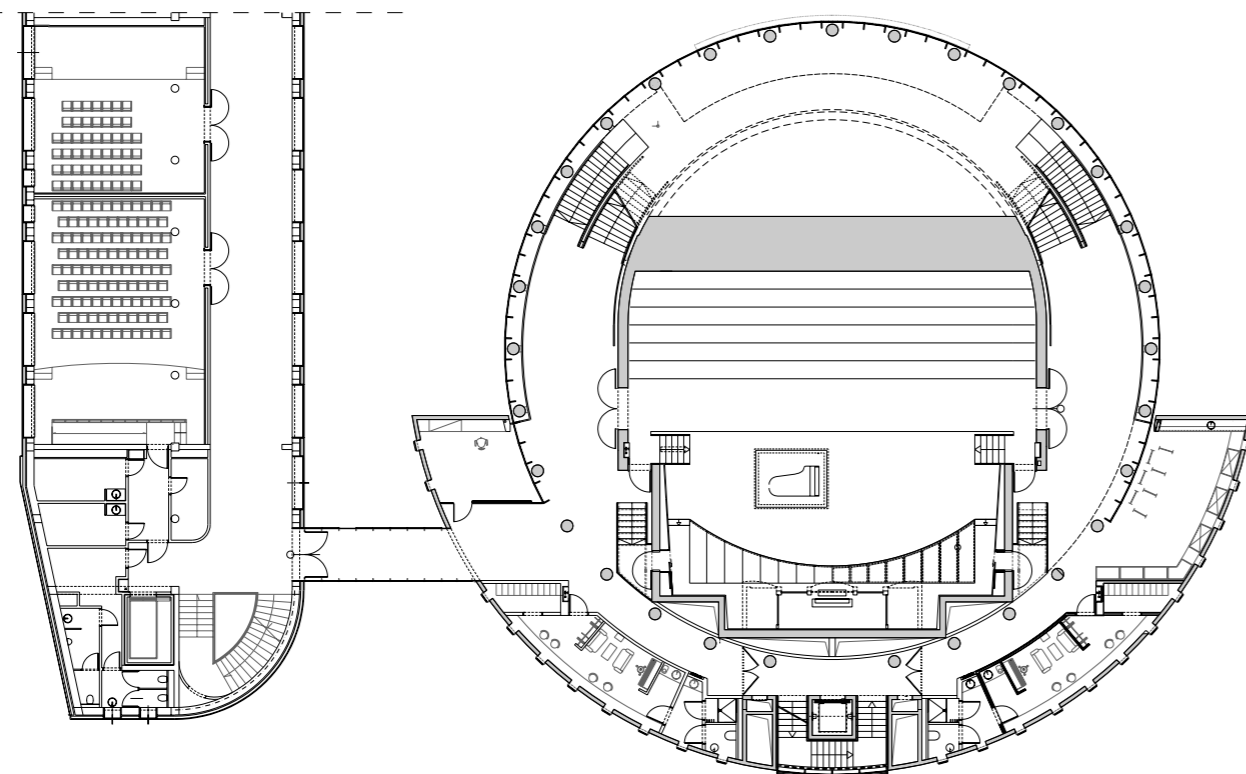
JG: Powiem tak... Do Warszawy i Poznania ściągają teraz Libeskinda. Zaha Hadid buduje w stolicy. Jest zapotrzebowanie na przedziwną architekturę: powyginaną, fikuśną. Tymczasem mnie nie chodzi o to, by było powyginane, ale by przeciętna architektura była dobra. A przeważnie nie jest. Nie łapie skali, nie wpisuje się w kontekst. Królujecie nieszczęsna zasada sąsiedztwa, a na głowy urzędników od architektury zwała się tak ogromna ilość przepisów, że skończyła się możliwość dyskusji o pryncypiach, czyli o skali, proporcjach i dopasowaniu. Ważne jest tylko, żeby wszystko zgadzało się z jakimś tam planem i parrytetem, który czasami jest... chory.

JG: *Jak więc Pan czuje się w tej rzeczywistości?*

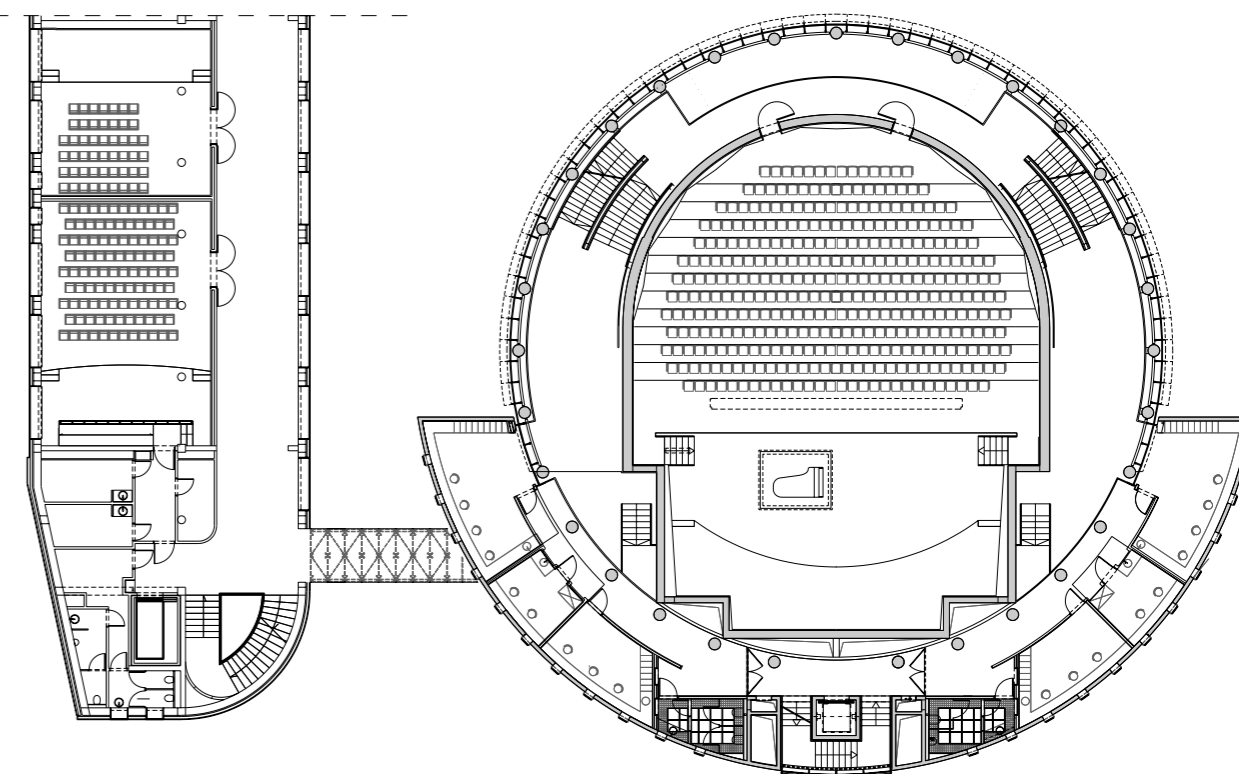
JG: Bardzo dobrze. Czasy wydają mi się, niestety, ciekawe. Zresztą, jak Pan widzi: przycisków na biurko i medalików za zasługi trochę się zebrało [śmiech]. Mile byłem nimi zaskoczony, zwłaszcza nagrodą SARP-u. Dobrze jest być architektem niszowym, bo za takiego się uważam. Nie buduję centrów handlowych, stacji benzynowych, ogromnych przestrzeni, takich jak IKEA, co to będzie stawiała na poznańskich peryferiach miasteczko w starym stylu [śmiech]. Odpukać, ale mam od dwóch lat znakomity okres. Wygrałem konkurs na halę sportową przy pływalni na Morasku. Rozbudowuję też AWF, nawiązując do doskonałego budynku autorstwa Marka Leykama. W centrum Poznania stawiam też budynek mieszkalny Casa Verona dla Włochów, którzy, o dziwo, chcieli mieć po prostu ładny projekt. To się w głowie nie mieści! Inne rzeczy też robię — dla teatrów. Na przykład ostatnio zajmowałem się prostowaniem podłóg na widowniach.

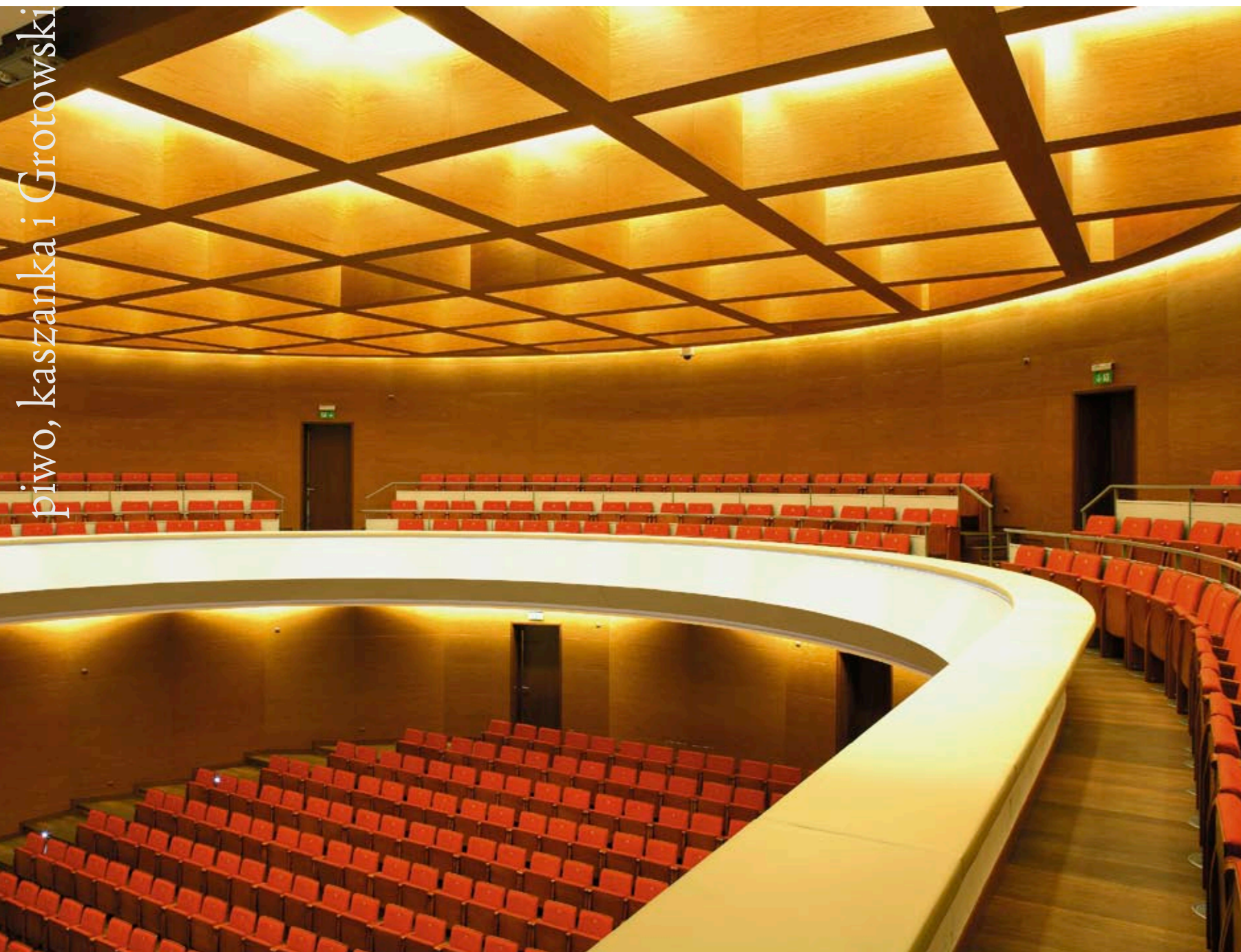
JG: *Podłogi! Nie żał Panu tego, że takich możliwości, jak u Grotowskiego już Pan potem nie miał?*

rzut parteru



rzut 1. piętra





JG: Nie. Nie jestem nadambitny, na szczęście. Wiele rzeczy udało mi się bez zbytniego poświęcania swoich przekonań, pasji i osobowości. Nikt mnie do niczego raczej nie zmuszał. Wręcz przeciwnie. Jeszcze w młodości, gdy mi kazali zrobić dom w Paczkowie, przy pięknym kościele, to powiedziałem, że nie. Po moim trupie. To się o konserwatora krajowego oparło i tego domu nie zrobili. Uważam to za swój wielki sukces.

JG: Trudniej jest postawić dom czy mieć zlecenie i powiedzieć, żeby go nie stawiać?

JG: Trudniej jest powiedzieć „nie“.

JG: Kilka lat temu spore kontrowersje wzbudził Pański projekt rozbudowy poznańskiej opery. Mówiono o tym, że zepsuje zabytek, nie szanuje kontekstu. To może jednak lepiej nie rozbudowywać?

JG: Może. Bo ten projekt nie do końca jest mój. Tam są rzeczy wymuszone przez konserwatorów, cofnięcia, obniżenia. A operze potrzeba większej przestrzeni, co najmniej dwa razy więcej niż zaprojektowałem. To jest za mały program.

JG: *Ta pudełkowa opera to zupełnie inny teatr niż ten, który Pan lubi.*

JG: Fakt. To jest zupełnie inny świat, ale przeuroczy. Bardzo lubię patrzeć na śpiewaków, gdy przychodzą zmęczeni, sterani, z siatkami plastikowymi. Rzucają to potem i w koronach na scenę wychodzą, dają głos. Ta przemiana jest fascynująca, trudna.

JG: *Pół wieku „baczy” Pan o scenę. Chciałby Pan zbudować jeszcze jakiś teatr od podstaw?*

JG: Pewnie, żebym chciał, ale on by się nikomu w Polsce nie podobał. Zrobiłbym teatr, o którym rozmawialiśmy dawno temu z Grotowskim. To byłby taki teatr, który jako budynek prawie by nie istniał. To musiałyby być zrobione nieco na odwrót: tak, by człowiek niepostrzeżenie wchodził w przestrzeń, gdzie dzieją się magiczne teatralne rzeczy, żeby ludzie byli w nie wciągani. Ludzie teatru też mają ochotę na coś takiego. Społeczeństwo i rozmaici decydenci wciąż nie są jednak przygotowani na budynek teatru, którego nie widać...

JG: Dziękuję Panu bardzo za rozmowę!

rozmawiał: **Jakub GŁAZ**
fot.: Daniel Rumiancew

Jakub Głaz (1977) — absolwent Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej, dziennikarz prasowy, zajmuje się m.in. tematyką architektury i planowania przestrzennego; przez ostatnie cztery lata pracował w poznańskim oddziale „Gazety Wyborczej”; obecnie redaktor miesięcznika „Metropolia” poświęconego rozwojowi Poznania i innych miast, z zamilowania radiowiec; prezenter i autor audycji, przez sześć lat był szefem programowym Radia Afera w Poznaniu.